

Niełatwo być biednym

5 stycznia 2016

Przyjęło się uważać, że osoby ubogie lub tylko niezamożne są niezaradne i mniej obrotne od bardziej majątnych. Rzekomo nie potrafią rozsądnie korzystać ze swoich zasobów, które przecież każdy ma ograniczone i kwestią roztropności jest takie rozdysponowanie środków i wykorzystywanie okazji, by tychże zasobów wystarczyło na spełnienie potrzeb. Jeśli ktoś sobie z powyższymi zadaniami nie radzi, to po prostu nie przyswoił pewnych umiejętności i musi nad nimi czym prędzej popracować. Trzeba zauważyć, że i tak już mamy postęp, bo osoby ubogie w oficjalnym dyskursie nie jawią się już jako leniwe nieroby, lecz jako nieuki, nad którymi należy od święta się pochylić, z troską i sympatią, ale też słabo ukrywanym lekceważeniem podać „pomocną” dłoń i oczekiwać, że dzięki temu nie pozostanie im już nic innego, jak wziąć sprawy w swoje ręce.

Bez wątpienia ten sposób myślenia, przyjęty przez większość społeczeństwa, jest wynikiem wytrwałej pracy grup homogenicznych nad lasowaniem mózgów. W ich interesie leży rozpropagowanie przeświadczenia, że to właśnie życiowa zaradność jest jedynym kluczem do sukcesu. Grupy te mają na podorędziu wielu pożytecznych idiotów w rodzaju Jurka Owsiaka czy „księdza” \$tryczka, którzy z uśmiechem na ustach zawsze są gotowi do przeprowadzenia z rozmachem szeroko zakrojonej akcji koncesjonowanego miłosierdzia. Do dyspozycji mają też tabuny sportowców, aktorów i innych celebrytów, pierwszych do lansowania się w świetle kamer i masturbowania swojego ego cierpliwym wyciąganiem tych mniej umiętnych Polaków z dołka, w jaki sami się przecież wpakowali swoim lekkomyślnym zachowaniem.

Jak to zawsze bywa, rzeczywistość jest zupełnie inna, niż chciałyby nam wmówić grupy dzierżące hegemonię. Gdyby prawda wyszła na jaw, poczułyby się one równie skonfundowane jak krezus, któremu dopiero co kupiony za ciężkie pieniądze

śliczny puszysty kotek narobił po raz pierwszy na perski dywan. Biedni nie są tak niezaradni, jak chcieliby ci fałszywi samarytanie, którzy jedną ręką pomagają, a drugą bronią wizji świata uzasadniającej istnienie potrzebujących. Wręcz przeciwnie – gdyby wielu tych samarytan utknęło w podobnej sytuacji jak ci, nad którymi załamują ręce, byłiby pewnie nieporadni jak dzieci. W gospodarce rynkowej biblijna zasada, według której dodane będzie tym, którzy już mają, a tym, którzy nie mają, odebrane będzie nawet to, co mają, wprowadzana jest dosłownie. Bogaci utrzymują swoją przewagę majątkową, gdyż w miarę bogacenia się otwierają się przed nimi nowe możliwości pomnażania majątku, zupełnie niedostępne dla osób na dole drabiny. Upośledzenie materialne rzuca ubogim kolejne kłody pod nogi – kłody, o istnieniu których zamożni nie mają nawet pojęcia. A wszystko to jest dodatkowo spięte kłamrą mechanizmów wysysających środki z portfeli ubogich wprost do kieszeni zamożnych, w taki sposób, że ci drudzy nawet tego nie zauważają, dzięki czemu w najlepsze mogą sobie dalej mędrkować o nieporadności tych pierwszych.

Osoby dobrze zarabiające nie tylko mogą łatwiej otrzymać kredyt – przede wszystkim jest on dla nich dużo tańszy, ma niższe oprocentowanie i prowizję. Mają więc dostęp do dużo tańszego kapitału, choć byłyby w stanie zapłacić dużo więcej niż ubożsi. Dla osoby o niskich dochodach samo wzięcie kredytu jest dużo większym wysiłkiem, w dodatku musi zapłacić za niego więcej, nawet jeśli uda się uzyskać kredyt w normalnym banku, a nie w parabankowej instytucji kredytowej pobierającej lichwiarskie odsetki. Taka sytuacja byłaby jeszcze do zniesienia, gdybyśmy żyli w świecie, w którym nikt nikomu nie każe brać pożyczek. Jednak obecnie panująca wersja kapitalizmu oparta jest na kredycie, gdyż bez niego na wiele bardzo istotnych dóbr (mieszkanie, samochód) nie byłoby nas stać. Oparcie życia gospodarczego na pożyczce, w sytuacji, gdy ta jest bez porównania tańsza dla osób zamożnych, drastycznie zwiększa nierówności, i to w taki sposób, że nie jest to wykazywane w oficjalnych statystykach mierzących nierówności

dochodowe.

Ale na tym nie koniec. Sektor finansowy nie tylko oferuje zamożnym tanie zadłużanie się, ale także szybkie i efektywne sposoby zarobku. Jednak te wysoko zyskowe instrumenty finansowe są zarezerwowane tylko dla górnej części hierarchii społecznej, bo minimalny wkład, jaki jest potrzebny, by się nimi posługiwać, jest poza zasięgiem niezamożnej części społeczeństwa. Ta ostatnia musi się zadowolić co najwyżej tradycyjnymi lokatami, często dającymi zysk zaledwie symboliczny. Co więcej, w obecnych czasach ograniczania publicznych systemów emerytalnych osoby bardziej majątne są wręcz zachęcane ulgami podatkowymi przez władze państwowe do inwestowania – ulgami, z których ubodzy nigdy nie skorzystają, ponieważ nie stać ich na akumulację środków na rynku finansowym. Zresztą zamożni ograniczają swe daniny publicznoprawne nie tylko wykorzystując ulgi: biura doradców podatkowych aż się palą, żeby zaoferować im usługi optymalizacyjne, dzięki czemu bogaci zyskują, lecz tracą na tym budżet państwa. A w efekcie tracą warstwy ubogie, gdyż władze publiczne, szukając środków na załatanie deficytów wywołanych machinacjami możliwych, przykręcają śrubę tym na dole drabiny społecznej, np. podwyższając podatki pośrednie, które uderzają w nich przede wszystkim.

Z drugiej strony, osobom niezamożnym gospodarka rynkowa permanentnie sypie piach w oczy. Jeżdżą starymi samochodami, więc płacą dużo wyższe obowiązkowe ubezpieczenie OC. Mieszkają w gorszych dzielnicach, więc jeśli chcieliby ubezpieczyć swoje mieszkanie także płaciliby wyższe stawki. Stać ich jedynie na lokum w gorszych miejscach, czasem wręcz poza miastem, w którym pracują, więc w podróży do pracy nie tylko tracą więcej paliwa, ale też czasu, który osoby zamożne mogą spożytkować np. na dodatkowy zarobek. Wykupują jedynie część leków, więc niezaleczone choroby wybuchają u nich w dwójnasób po jakimś czasie, co powoduje koszty jeszcze większe niż za pierwszym razem. Stać ich na żywność gorszej jakości, co jeszcze

pogarsza ich stan zdrowia i generuje kolejne wydatki. Nie stać ich na wykupienie dodatkowych lekcji dla dzieci, więc te już na starcie mają pod górkę w rywalizacji z potomstwem ludzi zamożnych. Są wykluczeni z wielu obiegów informacji i kręgów towarzyskich, więc omija ich mnóstwo okazji do zarabiania, na które co i rusz natykają się osoby bywające w zamożnych środowiskach. Zabiegane i zajęte całymi dniami spinaniem końca z końcem nie mają czasu na budowanie sieci znajomości, które we współczesnej gospodarce rynkowej są niezbędne do osiągnięcia powodzenia materialnego.

Wisienką na tym niesprawiedliwym torcie są immanentne mechanizmy systemu, które wysysają środki z kieszeni mniej zamożnych wprost do kabz majątnych. Najlepszym przykładem jest rynek nieruchomości, które nie od dziś są traktowane jako znakomita lokata kapitału. Lokata jednak dostępna tylko dla tych, którzy mają wystarczającą (czyli dużą) ilość środków na ich zakup. Ten wygodny sposób zarabiania przez bogatych wiąże się ze wzrostem popytu na to dobro, a więc ze wzrostem ceny. Korzystają na tym ci, którzy w nieruchomości inwestują, za to tracą traktujący je nie jako lokatę, ale jako niezbędne miejsce do życia, czyli zazwyczaj ludzie młodzi, nieuprzywilejowani, dopiero wchodzący na rynek. Kupują droższe mieszkania od bogatszych, dzięki czemu ci mogą zainwestować w kolejne, co jeszcze napędza ich cenę, więc dla kolejnych szukających dachu nad głową ludzi jego zakup staje się coraz większym wyrzeczeniem, za to zyski posiadaczy nieruchomości rosną. I oto mamy do czynienia w istocie z odwróconą redystrybucją – od biednych do bogatych.

Zresztą takich przykładów jest więcej. Innym jest opisany wyżej rynek kredytowy. Formalnie to bank udziela kredytu – jednak tak naprawdę jest on jedynie pośrednikiem. Pieniądze, które pożyczają, z reguły nie należą do niego, lecz jego klienta innego rodzaju – depozytariusza. Ten dysponuje nadwyżką kapitału (czyli najczęściej jest człowiekiem majątnym) i decyduje o włożeniu pieniędzy na lokatę, by trochę na nich

zarobić, dajmy na to 4%. Żeby ten zamożny mógł zarobić owe 4%, bank pożycza pieniądze człowiekowi w potrzebie na jeszcze większy procent, aby także zapewnić sobie zysk. W ten sposób relatywnie ubogi kredytobiorca spłacając z nadwyżką, dajmy na to, samochód niezbędny, by dojechać do pracy, daje zarobić bogatemu depozytariuszowi. Trzeba też pamiętać, że to właśnie ten mechanizm doprowadził do obecnego kryzysu – aby udobruchać amerykańskich pracowników, których realne pensje od lat stały w miejscu lub wręcz spadały, dano im możliwość wzięcia łatwego kredytu, dzięki czemu mogli jakoś zaspokoić niektóre z potrzeb. Niestety sytuacja wielu z nich była tak zła, że nie mogli ich spłacić, co doprowadziło do kryzysu na rynku kredytów hipotecznych, a ten rozlał się na całą gospodarkę.

Jak widać, osoby ubogie wcale nie muszą być niezaradne. Często aby się utrzymać na powierzchni w ich sytuacji ekonomicznej, trzeba się wykazać zaradnością, z której istnienia ci „troskliwi” zamożni nawet nie zdają sobie sprawy. Upośledzenie materialne nie jest wcale wynikiem specyficznych cech charakteru lub braku jakichś umiejętności, lecz przede wszystkim miejsca w strukturze ekonomicznej społeczeństwa, „zajmowanego” najczęściej nie z własnej winy. Oczywiście nie zostanie to nigdy oficjalnie przyznane, gdyż obecnie dominujący przekaz jest wygodny dla grup hegemonicznych. W innym wypadku należałoby uznać, że progresywne systemy redystrybucji to nie jest łaska, którą bogaci dają biednym, ale niezbędny bezpiecznik systemu, w dużej mierze opartego na niesprawiedliwych mechanizmach. A o ileż łatwiej jest, zamiast płacić wyższe podatki, od czasu do czasu zaangażować się w akcję pomocową, a na co dzień korzystać ochoczo z usług swego doradcy podatkowego i innych specjałów przygotowanych przez system dla jego beneficjentów.

Autorstwo: Piotr Wójcik

Źródło: NowyObywatel.pl